

# Rzecz o bogactwie

„Stopa wzrostu gospodarczego jest jedynym wskaźnikiem postępu, któremu składają hołd politycy, bez względu na to, jaką partię reprezentują. Wskaźnik wzrostu gospodarczego osiągnął międzynarodowe uznanie jako kryterium oceny wszelkich ogólnych osiągnięć poszczególnych narodów, jako powszechne kryterium cnoty”.

Edward J. Mishan

Jakiś czas temu zauważyłem celny rysunek w amerykańskim czasopiśmie „New Yorker”. Przedstawiał dwójkę nowożeńców przed obliczem księdza, a pan młody wypowiadał mniej więcej taką kwestię: *„Ślubuję ci miłość, wierność małżeńską i trwały wkład w rozwój produktu krajowego brutto”*. Gdyby ktoś żyjący przed II wojną światową przeniósł się do naszych czasów, zapewne nie od razu zrozumiałby, że ma do czynienia z karykaturą. A nie zrozumiałby dlatego, że pomysł stworzenia nowej kategorii ekonomicznej, która miałaby mierzyć wzrost produkcji, powstał w czasie II wojny światowej. Początkowo istniała nazwa produkt narodowy brutto (PNB), ale kilka lat temu przymiotnik „narodowy”, prawdopodobnie ze względu na złe skojarzenia, zmieniono na „krajowy”. Zmieniono nazwę, ale sam sposób mierzenia wzrostu gospodarczego praktycznie się nie zmienił. W Niemczech ta sama kategoria nosi nazwę Bruttosozialprodukt - produkt społeczny - i była tematem pokpiwającej piosenki rockowej, popularnej w latach 80-tych. Ale pomimo tych zmian i dowcipów pojęcie „produktu krajowego brutto” przeniknęło do naszego codziennego języka, tak że na co dzień używamy już tylko trzyliterowego skrótu - PKB.

PKB opanowało nasze umysły. Stało się wskaźnikiem ekonomicznego postępu i jest szeroko używane przez polityków, ekonomistów, agencje międzynarodowe oraz media jako podstawowa wizytówka gospodarczego zdrowia i dobrobytu. Nawet ci z naukowców różnej maści, którzy związani są z ochroną środowiska i stworzyli pojęcie tzw. zrównoważonego wzrostu, uważają, że „wielkości PKB ukazują syntetycznie i najpełniej rozmiary rewolucji ekonomicznej, jaka dokonała się w obecnym stuleciu.” Twierdzą na przykład, że w XIX wieku produkt świata realnie wrósł ok. 3-krotnie, natomiast w ciągu 90 lat naszego wieku ponad 24 razy. Przy założeniu, że wzrost jest „dobry” - a dzięki mediom wiemy, że oznacza on więcej domów, telewizorów, lodówek, wszelkich usług - pod karą pręgierni opinii publicznej zabronione są próby detronizacji znaczenia PKB. Zwłaszcza w Polsce, każdy, kto spróbuje powiedzieć coś złego o tym mierniku, zostanie uznany za nieprawomyślnego głupka bądź ignoranta.

Tymczasem to PKB jest chory i kompletnie alogiczny. Został zaprojektowany jako instrument mierzący wartość wszystkich sprzedanych bądź kupionych produktów i usług brutto, bez żadnego podziału na transakcje, które zwiększają nasz dobrobyt i takie, które go pomniejszają. Zamiast oddzielić koszty od zysków, działanie produktywne od destruktywnego, PKB zakłada, że każdy przepływ pieniądza z ręki do ręki jest z definicji korzystny. Jeśli np. uciekający przestępca spowoduje wypadek samochodowy, podczas którego zostanie ranny, to nasz kraj wzbogaci się niezmiernie, ponieważ koszty mojego leczenia, ubezpieczenie samochodu, koszt jego holowania i naprawy zwiększą wskaźnik PKB. Jeśli policja złapie zbrojca, a sąd go skáže, to nasz kraj może wzbogacić się jeszcze bardziej, bo koszty pościgu, aresztu, rozprawy sądowej i zwłaszcza pobytu w więzieniu nie są małe. Czy nasz dobrobyt się zwiększył w wyniku tych przepływów finansowych? A jednak, okazuje się nawet, że koszt rozwodu czy naprawy budynku po powodzi zwiększa nasze bogactwo. Przypomina to wymagowaną sytuację, jakby prywatna firma oceniała swoją kondycję finansową sumując koszty i zyski, aktywa i pasywa razem pod zbiorczą etykietką „działalności przedsiębiorczej”. Czysty absurd.

Z drugiej strony PKB ignoruje wszystko, co wydarza się poza pieniężną sferą wymiany, choć w wielu

przypadkach działania podejmowane w tej sferze mają bezpośredni wpływ na odczuwanie przez nas wzrostu bądź obniżenia naszego dobrobytu. Kiedyś więcej kobiet pozostawało w domach, gdzie zajmowało się dziećmi, przygotowaniem posiłków, praniem, szyciem itp. Ich praca nie była liczona do PKB, nie zwiększała więc naszego bogactwa. Teraz, gdy kobiety znacznie częściej i dłużej pracują i nie mogą wykonywać tylu domowych czynności, muszą zatrudnić opiekunkę do dziecka lub przynajmniej oddać je do przedszkola, kupują gotowe jedzenie, oddają rzeczy do pralni. I nagle okazuje się, że te wszystkie czynności nabierają w skali całego kraju ogromnej wartości, a to tylko dlatego, że pieniądze przeszły z jednych rąk do drugich. Gdy te same zadania były wykonywane przez matki i żony, nie były godne wciągnięcia do PKB, gdy przeszły w ręce najemników (a wiele z nich nie zyskało przy tym na jakości), stały się ekonomicznie ważne.

Podobnie jest z pracą w organizacjach non - profit (nie dla zysku), w których swój czas i wysiłek angażuje ogromna liczba osób. Wkład w ochronę środowiska, jeśli nie jest związany z przepływem pieniądza, również pozostaje niezauważony, ale każda produkcja, czy zanieczyszcza otoczenie, czy nie, jest liczona na plus. Natomiast gdy później trzeba będzie zbudować oczyszczalnię, czy założyć filtry, to koszty te zwiększą nasz PKB. Ze względu na to, że ten typ wydatków będzie narastać w następnych latach, nie musimy się raczej martwić o nasz dobrobyt.

Pojawiły się już pierwsze jaskółki innego myślenia o bogactwie narodów i pierwsze próby innego mierzenia jego wzrostu. Garstka ekonomistów zabrała się za to zadanie niejako z musu, słysząc podstawowe przykazanie znakomitej większości: „Co się nie da policzyć, to się nie liczy”. Wyniki tych obliczeń, delikatnie mówiąc, są szokujące. Według ich wskaźnika, w którym oddzielili zyski od kosztów, o wzroście w USA można było mówić w latach 50-tych i 60-tych, natomiast począwszy od lat 70-tych widać regres o prawie 45%. A różnica polega głównie na traktowaniu kosztów społecznych jako części PKB, produkowaniu na kredyt, przy czym wierzycielami są następne pokolenia i dodawaniu do PKB kosztu usług, które wcześniej były domeną wspólnot bądź gospodarstw domowych i nie były wyceniane.

Nawet gdybyśmy nie dysponowali nowymi wskaźnikami wzrostu, to gołym okiem byłoby widać, że istnieje ogromna luka między stwierdzeniami naukowców i polityków, a naszym oglądem. Przedstawicielom nauk społecznych wygodnie jest używać ściśle wymiernych i maksymalnie uproszczonych wskaźników dobrobytu społecznego. Mogą oni udzielać konkretnych rad, co podnosi ich pozycję jako specjalistów, a jeżeli wzrost ich wskaźników wiąże się z pojawieniem się zjawisk, które uważają za część dobrobytu społecznego, to mogą zasłużyć na miano nowoczesnych proroków. Dlatego też wspomniany na początku ekonomista Edward Mishan napisał również inną ważną myśl: *„Mówi się, że wojna to sprawa zbyt poważna, by można ją było pozostawić generałom. Badanie wzrostu gospodarczego jest natomiast sprawą zbyt poważną, by można ją było pozostawić ekonomistom”.*

**Maciej Muskat**